



JAMES BRANDON

ziggy,
stardust
lilija

beyA.

Tytuł oryginału: Ziggy, Stardust and Me

Tłumaczenie: Piotr Cieślak

Redakcja: Karolina Frączak

ISBN: 978-83-283-9653-1

Copyright © 2019 by James Brandon, LLC

G. P. Putnam's Sons is a registered trademark of Penguin Random House LLC.

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.

This edition published by arrangement with G.P. Putnam's Sons, an imprint of Penguin Young Readers Group, a division of Penguin Random House LLC.

Polish edition copyright © 2023 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/ziggys>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzje.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

1.

sobota, 19 maja 1973 roku



WSZYSTKO ZACZYNA SIĘ W DNIU, w którym na znanym mi dotąd świecie pojawiają się pierwsze rysy. Siedzimy w pokoju Starli i czekamy na *Soul Train*. Na pierwszy rzut oka wygląda to jak typowy sobotni poranek — wszystko *wyduje się* zwyczajne. Powiniennem być jednak wyczuć pismo nosem. Jestem wszak mistrzem gry pozorów...

Po zwykłym, naleśnikowym śniadaniu zajmujemy swoje stałe miejsca. Starla krzyżując nogi, siada na długowłosym, rubinowo-czerwonym dywanie i zaczyna przyklejać srebrzyste dzęty do pary lewisów w ramach projektu na jakiś konkurs, w którym zamierza wziąć udział. Ja łagodnie fałuję w górę i w dół na jej łóżku wodnym, kartkując nowe wydanie magazynu „Interview”, które wręczyła mi tak, jakby nie mogła się już tego doczekać.

Zatopieni we własnych światach, w ciszy czekamy na rozpoczęcie telewizyjnego nabożeństwa — nabożeństwa w naszym wydaniu: programu *Soul Train*. Wszystko zaczęło się rok wcześniej, gdy Starla zabrała mnie do centrum na mój pierwszy koncert Ziggy’ego Stardusta, a on, nie oszukujmy się, rozbił mi mózg na atomy. Może nawet dosłownie. Miał na sobie ten swój obcisły trykot w panterkę i wielkie buty na koturnach, więc rzeczywiście nad nami górował,

jego twarz była pokryta białym pudrem i krzykliwym makijażem, do tego włosy w kolorze strażackiej czerwieni i — whambamthankyouma’am — *narodziłem się na nowo*.

W pewnym momencie osłonił oczy dłonią, omiótł wzrokiem publiczność i zaśpiewał *Starmana*, wskazując prosto na mnie. Mogę przysiąc, że jego głos rozmontował mi duszę i w tamtej chwili doznałem objawienia boga boogie. „Jezus dokonuje swych cudów na tajemnicze sposoby — powiedziała potem Starla, ocierając mi łzy z oczu. — Objawia się we wszystkim, jeśli umiesz go dostrzec. Może Ziggy jest twoim mesjaszem”.

Uznała wtedy, że muzyka jest moją religią. W każdy sobotni poranek szliśmy do jej pokoju, żeby obejrzeć *Soul Train*. (Wreszcie jakiś kościół, za którym mogę się opowiedzieć). Do startu pozostało dziesięć minut...

Telewizor stoi w rogu, na wózku na kółkach. Właśnie skrzeczy reklamą płatków śniadaniowych dla dzieci.

Okno w pokoju jest otwarte i wpadają przez nie powiewy wiatru, jeszcze lepkie po trzyminutowej ulewie. Typowa wiosna w St. Louis. Wiatr marszczy koraż twarzy porozklejanych na ścianach; sprawia, że śpiewają, śmieją się i szeleszczą o polityce. The Jackson 5, Jezus, Coco Chanel, symbole „Power to the people” i wszystkie jej heroiny od zarania dziejów — od Joanny d’Arc, przez Joan Baez i Angelę Davis, po Twiggy. Ach, byłbym zapomniiał o oprawionych zdjęciach jej tajnej sympatii — Donny’ego Osmonda. Tak, naprawdę.

Głos Roberty Flack spływa z gramofonu niczym miód na moje serce. A Starla... śpiewa. *Killing me softly*... Należy do chóru kościelnego, ale hm... ujmijmy to tak, że nie ma anielskiego głosu. Niech będzie błogosławiona. Starla. Moja najlepsza przyjaciółka od zawsze. Ludzie myślą, że jesteśmy razem; pozwalam im. Tak jest bezpieczniej.

I tak, Starla to prawdziwe imię. Powiedzmy, że prawdziwe. Urodziła się wprawdzie jako DeeDee Lucinda Jackson, lecz wyznała mi, że pewnej nocy — a miała wtedy pięć lat — przyśnił się jej Jezus,

który rzekł: „Pochodzisz z gwiazd i przybyłaś tu, by uleczyć świat”, więc nakłoniła rodziców do zmiany jej imienia na Starla. Moim zdaniem jest kosmicznie idealne, tak jak ona sama, i w jakimś sensie pasuje nawet do galaktyki piegów pokrywających jej buzię. Poza tym bez niej nie byłoby już Jonathana, bo dawno temu rozpadłbym się na kawałki.

„Pola siłowe mają wiele form”. Te słowa usłyszałem kilka lat temu od doktor Evelyn po tym, jak powiedziałem jej, że pole Starli jest podobne do mojego.

— *With his song... uuu... uuuu... uuuuu... uuuuuu...* — śpiewa Starla.

Uuu, uuu. Pobłogosław ją Panie, albowiem nie wie, co czyni. Ale jest słodka. Włosy ma schowane pod pomarańczową chustą. Koniuszek języka wystaje z kącika pomalowanych na mandarynkowo ust. Wygląda jak zachód słońca.

Wracam do magazynu „Interview”. Przerzucam kolejne kartki dziwnych, niezrozumiałych rozmów, mijam nowy obraz Andy’ego Warhola, przedstawiający Mao Zedonga, osobliwe zdjęcia półnagich kobiet umazanych fluorescencyjnymi farbami, a potem

O.

Obrywam prosto w twarz trzema słowami:

— *GEJ JEST OKEJ!*

Na zdjęciu obok tańczy ze sobą kilku długowłosych mięśniaków.

O.

Naprawdę.

W jakim równoległym wszechświecie zaparkowały te włochate ćpuny? Bo nie w tym. Nie w Missouri. Nie w tym przegranym miasteczku Creve Coeur.

O nie; tutaj ci kolesie trafiliby za kratki. Albo wylądowali u czubków. Albo jeszcze gorzej. Uwierz mi, wiem co...

Ale cholera, oni tańczą. I się całują! I się uśmiechają się tak, że ich radość wyrywa się z kartki, nokautuje i...

Zatapiam się w tym zdjęciu.

Muzyka dudni.

— Hejhejhej, Jonny Collins, cieszę się, że w końcu się ujawniłeś, żeby się pobaawzić. — Jego wąsik łaskocze mnie w policzek.

— Wybacz, że tak długo to trwało, misiu pluszowy — mówię.

— Tyle imprez, tak mało czasu, podoba ci się? — Obejmuje mnie w niedźwiedzim uścisku. Po jego klatce piersiowej spływa pot, sklejający nas w jedno. Jego usta pozerają mnie, jakbyśmy byli nienasyчени, wiecznie nienasyчени...

— Halo! Słyszysz mnie? — To Starla.

Z trzaskiem zamykam magazyn, nasze światy na powrót się zderzają.

— Co?

— Znowu się zawiesiłeś.

— Nie.

— Ależ tak. Wszystko gra? — Przygląda mi się badawczo spod przy-mrużonych powiek. Jej oczy w dzikim zielonym kolorze wyglądają jak dwa kawałki szkła uranowego w promieniach ultrafioletu.

— Nic mi nie jest.

— Słyszałeś, co powiedziałam?

— Nic. To znaczy nie. A co? — Dużo się we mnie dzieje. To *zawieszanie się*. „Wyobraźnia jest twoją bezpieczną przystanią, kapsułą ratunkową do innego wymiaru, w którym możesz swobodnie być sobą” — powiedziała mi kiedyś ciotka Luna. I dodała, że mam jedną z najdzikszych wyobraźni, jakie zna. Co prawda sama jest ekscentryczną hipiską, więc kto ją tam wie. Ale chyba ma rację i chyba to działa, bo nieustannie podróżuję w świecie fantazji. Tam jestem najbezpieczniejszy. Wszystko, byle uciec od tej rzeczywistości.

— Chodź, usiądź obok — mówi Starla, wracając do swojego pi-stoletu do kleju. — Chcę z tobą pogadać.

— Chwilka. — Nie mogę się ruszyć. Mhm. Mam pozaziemską erekcję. Szlag. Skwiercząca. Jak zerwana linia elektryczna. (Nieu-niknione skutki uboczne terapii doktor Evelyn. Niedługo napiszę

o tym więcej). Kombinacja tych dwóch rzeczy oznacza, że zdecydowanie nie jest dobrze.

Starla niczego nie zauważa, jest zatopiona w swoich dżetach. Zwijam magazyn i wciskam go do tylnej kieszeni. Później schowam go do szafy, żeby ci goście na dobre przepadli pod stosem „National Geographic”. Przecież właśnie tam być powinni: w kryjówce. Gdzie nikt ich nie znajdzie.

Ostrożnie zmieniam pozycję, uwalniam się z objęć łóżka, sięgam po ołówek i leżącą obok kartkę i zaczynam rysować, żeby zająć czymś myśli. *Czy Starla wiedziała o tym artykule? Czy dlatego tak nachalnie wtykała mi tę gazetę? Nie. Przecież wie, co czuję w kwestii tych chorych klimatów.*

— Czemu lubisz rysować moje piegi? — pyta.

— Co? Ach. Bo są cudne.

— Nienawidzę ich. Czuję się, jakbym była trędowata. *Uuu... uuuu... uuuuu... — śpiewa.*

— Jaja sobie robisz? To twój największy atut. Jesteś jak chodzące nocne niebo.

— A ty jesteś niepoprawny. — Przykleja do lewej tylnej kieszeni spodni dżet, a wzór coraz wyraźniej układa się w symbol pokoju.

Wybieram miejsce i szkicuję nową konstelację na jej policzku.

— Zobacz, właśnie znalazłem Malutką Niedźwiedzicę.

— Jonny, Jonny, Jonny...

— Starla, Starla, Starla...

— I jak ja sobie bez ciebie poradzę?

— Że co? — Przystaję rysować.

Nie odpowiada. Odrzuca dżinsy i przestawia igłę na płycie. Znów słodycz Roberty Flack.

— Starla?

Odwraca się w stronę telewizora; właśnie zaczyna się *Soul Train*.

— Co masz na myśli, mówiąc „bez ciebie”? — Biorę ją za rękę. Jest lepka od kleju.

— Po prostu... nie wiem. Będę tęsknić.

— Przecież nigdzie się nie wybieram.

— Ty nie — mówi, odwracając się w moją stronę. — Ale ja tak. *Wszystkie zdjęcia na ścianie zachłystują się szalestem.*

— Co? Dokąd?

— Na lato. Do Waszyngtonu. Mama dostała jakąś robotę na uczelni, a tato chce, no wiesz, żebym przy okazji dowiedziała się tego i owego o ruchach społecznych i całym tym zamieszaniu. Miałam ci powiedzieć, ale...

— Aha. — Nie wiem, jak miałbym zareagować, więc tylko się powtarzam. — Aha.

— Wiem.

— Naprawdę?

— Tak.

— Aha.

Nie. To się nie dzieje. Od tamtej pory nie spędziłem ani jednego lata bez Starli. Kręci mi się w głowie. Świat wiruje wokół nas, siedzących ze sklejonymi dłońmi w oku cyklonu. Zamykam oczy.

— Dobrze się czujesz? — pyta, ocierając moje łzy. Nie miałem pojęcia, że płaczę.

— Jasne — odpowiadam, siląc się na najsztuczniejszy uśmiech. Nie będę jej widywał. — Cieszę się twoim szczęściem. Tylko... no wiesz... też będę tęsknił.

Unosi mi podbródek.

— Posłuchaj, wiem, że to głupie, ale rozmawiałam o tym z rodzicami i mama powiedziała, że jeśli chcesz, możesz z nami jechać. Czy to nie jest dobre wyjście?

— Ach... tak...

— Wyjeżdżamy dzień po zakończeniu roku szkolnego. Dzięki temu zostalibyśmy razem, a ty pod koniec wakacji miałbyś mnie tak dość, że *modliłbyś się* o powrót tutaj. — Śmiejemy się. Jeśli tak to można nazwać. — Tak czy inaczej myślę, że powinienes się na

chwilę wyrwać z tego grajdołka... zobaczyć nowe rzeczy... poznać nowych ludzi... rozumiesz.

— Mhm... — Wiem, że nadal mówi, ale już jej nie słyszę. Mój mózg jest jak sparaliżowany. *Ma rację. Nigdy nie opuszczałem Creve Coeur, choć zawsze o tym marzyłem: złapać stopa do Kalifornii i zostać gwiazdą rock'n'rolla. Ale nie mogę. Jeszcze nie teraz. Dopóki nie zostaną naprawiony na zawsze. Jak mam tego dokonać bez niej?*

— ...i moglibyśmy iść na National Mall, dołączyć do protestu przeciwko wojnie w Wietnamie. Może udałoby się nam coś zrobić z tą głupią, bezsensowną wojną, co? No dawaj, nie chcę być tam sama. Byłoby fajnie. No zgódź się. — Kładzie na szali swój uśmiech. Bo wie.

— Ojciec nie puści mnie za żadne skarby, Starlo. Mam tylko szesnaście lat i...

— Za kilka tygodni będziesz miał siedemnaście! Tato obiecał, że z nim pogada, jeśli...

— No i mam swoje zabiegi.

— Ach... no tak — szepcze.

— Wiesz, że nie mogę ich opuszczać — dodaję, a Starla tylko wzrusza ramionami. — Wszystko będzie dobrze. Tak jak powiedziałeś, to tylko dwa miesiące. A poza tym po prostu *musisz* jechać, żeby wreszcie wykrzyczeć Nixonowi to, co chciałeś. Za nas oboje. — Ocieram jej łzy. — Nie smuć się, dobra? — Mówię to bardziej do siebie niż do niej. Została mi już tylko jedna seria zabiegów, ale dotąd nie musiałem ich przeżywać bez Starli... Nigdy nie musiałem przeżywać *niczego* bez Starli...

— Dobra — zgadza się wreszcie.

Siedzimy w milczeniu. Mam wrażenie, że świat rozlatuje się na kawałki, których deszcz spada wokół mnie, dopóki nie uświadomię sobie, że to trzask igły przeskakującej na końcu płyty.

— Chodź — zachęcam. — Pora na mszę. — Wyłączam gramofon i podkręcam dźwięk w telewizorze.

Oglądamy odcinek *Soul Train*.

Słuchamy zakręconej wersji *Fly Me to the Moon* w wykonaniu Bobby'ego Womacka.

Przez cały czas trzymamy się za ręce.

Nie mogę się zdecydować, które z nas bardziej boi się zabrać dłoń.

Tej nocy leżę w łóżku i nie mogę zasnąć. Księżyc w pełni przebija się przez koronę topoli za oknem, tworząc na ścianach pokoju blade wersje dyskotekowych świateł.

Kłapkowy zegar na mojej szafce nocnej wskazuje 3.13.

Cały drżę. Czuję się, jakbym tkwił w wannie wypełnionej lodem, z tym, że każdy nerw mojego ciała płonie. Jest radioaktywny. Znow miałem ten sen: doktor Evelyn pogwizdywała *Life on Mars?* Bowiego. Z uśmiechem. Wymalowana jak on, z akwamarynowym cieniem na powiekach i grubymi warstwami różu pokrywającymi policzki. Siedzę na drewnianym krześle. Evelyn przywiązuje mnie do niego pasami. Owija skórzane mankiety wokół moich nadgarstków. Spina je klamrami. Mocno. Potem uda. Z każdego mankietu biegą przewody elektryczne podłączone do stojącej przede mną na stole maszyny.

Uśmiecha się, wciąż pogwizdując.

Na moje uszy trafiają miękko wyściełane słuchawki, tłumiąc zewnętrzny świat. Widzę, że porusza ustami, ale niczego nie słyszę. Wychodzi, zabierając ze sobą światło. Żegluję w kosmosie. Sam. W oczekiwaniu. Wreszcie włącza się rzutnik slajdów. Oślepia mnie. Pojawiają się kolejne obrazy, aż...

Przez kable strzela prąd elektryczny, który przypala mi uda, nadgarstki i serce. Projektor nie przestaje klekotać. Moje myśli smażą się na amen...

Wtedy się budzę.

Choć nie. Niezupełnie.

„Choroba karmi się sekretami” — oznajmia doktor Evelyn, a ja nie powinienem już dokarmiać swojej przypadłości, pora więc je wyjawic... *ORKIESTRA TUSZ!* Sekret pierwszy — jestem chory, a to jest moja terapia, która ma mnie naprawić.

Na razie myślę, że działa. Naprawdę. Mogłaby. W przeciwnym razie skończę jak mój wujek, w jednej z tych wyściełanych salek w wariatkowie, zgubiony na zawsze...

Sięgam po płytę *Aladdin Sane*, leżącą na moim biurku — to najnowszy album Ziggy’ego, białą z czerwoną błyskawicą przecinającą jego twarz. Mona Lisa rocka. Ikona.

— Jesteś tu? — szepczę.

Podnosi wzrok i się uśmiecha.

— *Cześć, mały Starmanie — odzywa się. — Spójrz na siebie, piękny chłopcze, odjechany w kosmos aligatorze rock’n’rolla.*

— Boję się — wyznaję. — Nie dam rady, Zig. Nie poradzę sobie z tym sam...

— *Dobrze już, dobrze... Poradzisz sobie. Musisz tylko wyjść spojrzeniem poza tutaj, uwierzyć w tego siebie, którym naprawdę jesteś w gwiazdach. Ja wierzę, mały.*

Przytakuję, a łzy pieką mnie pod powiekami.

— *No już — mówi. — Zatańczmy boga boogie...*

Po raz pierwszy od bardzo dawna...

Modłę się.

2.

poniedziałek, 21 maja 1973 roku



W PONIEDZIAŁKOWY PORANEK CZEKAM na Starłę przed jej domem. Dziwne. Zwykle to ona czeka na mnie. Zasłony są zaciągnięte, a na podjeździe nie ma lincolna. Hm. Jeszcze tak nie było, żebyśmy nie pojechali razem na rowerach do szkoły. Coś przegapiłem? Chwilczkę — czy ona wspominała, że wyjeżdża *następnego dnia*?

Nie. Zadzwoiłaby, żeby się pożegnać i... no nie. Weź się w garść, Collins, jesteś zmęczony. Za mało spania ubiegłej nocy. Za mało spań we wszystkie ubiegłe noce. Oddychaj.

Wdech.

Wydech.

Ach...

Już dobrze. Uwielbiam ten zapach zaraz po porannym deszczu w Creve Coeur: rdzawy aromat ziemi wymieszany z wonią prania świeżo rozwieszonego na sznurze. Super byłoby nałowić go w słoik i otworzyć w lepki letni dzień, gdy masz dość smrodu potu. (A w tym rejonie St. Louis takie pieskie dni przychodzą nadzwyczaj często). Ludzie myślą, że mieszkamy na wsi. Coś w tym jest. Wprawdzie już od jakiegoś czasu osiedla rozpełzają się coraz dalej, a cywilizacja wraz z nimi, lecz przeważająca część Creve Coeur jest wyspą otoczoną

patchworkiem pól uprawnych z oczkiem pobliskiego jeziora. To oznacza, że latem okolicę spowija kokon wilgoci. A sądząc po tym, co się święci, nadchodzące wakacje zapowiadają się okrutnie. Babcia mówiła o takich, że *wloką się jak mucha w smole*.

Ale gdzie jest Starla? To naprawdę bardzo dziwne.

Wciąż czekam.

Zegarek wskazuje 7.43. Nie wiem. Czekam, aż w końcu dłużej czekać nie mogę, więc zarzucam plecak na ramię, wskazuję na siodelko i depczę pedały swego Stingraymobila, który, nawiasem mówiąc, jest *nie tylko* moim rowerem; jest aksamitnoczarno-cukierkowoczerwonym cudem świata. Do tego stopnia pochłaniają mnie myśli o tajemniczym zniknięciu Starli, snach z Bowiem, koszmarach z doktor Evelyn i nocnych eskapadach taty (opowiem o tym później), że na skrzyżowaniu zamiast w *prawo* skręcam w *lewo* i bum!

Scotty Danforth i jego sługusy — Brygada Małopodów.

Nie.

„Omijaj negatywy” — radzi doktor Evelyn. Potraktowałem to dosłownie. Wytoczyłem sobie takie trasy do szkoły, w szkole i ze szkoły do domu, aby tego rodzaju incydent nigdy więcej się nie powtórzył. Jestem Gejlileusz, miło mi cię poznać. Sposób jaki jest, taki jest, ale działał i gdyby nie on, mogłoby się to powtarzać codziennie. Wszystko zaczęło się kilka lat temu od Scotty’ego i jego głupich docinków po *tamtym* wydarzeniu. (Och, tak, *kiedyś* się przyjaźniliśmy, ale tamtego dnia wszystko się zmieniło). Jedno zaś wiedziałem na pewno: gdy raz znajdziesz się na celowniku, zawsze już na nim będziesz.

— Siema, Jon-Boy, jak tam, co tam? — Próbuje zdmuchnąć z oczu rozczochraną czarną grzywkę, lecz ani jeden kosmyk nie zmienia swego położenia.

Nie odzywam się, jak sparaliżowana ofiara. Poza tym wciąż nie mogę wyjść ze zdziwienia, że się na nich nadziałem. Gotów jestem przysiąc, że właśnie teleportowali się z Planety Małp. Przrzekam,

że Scotty posiadał tę pieprzoną umiejętność. W sumie wygląda, jakby został wyrzeźbiony przez Michała Anioła z resztek marmuru, czemu więc nie miałyby umieć przemieszczać się z nadludzką prędkością?

— Chłoptasia ładnie dziś wygląda, co nie, chłopaki? — Obejmuje mnie ramieniem za szyję i mierzwi mi włosy. *Wściekam się*, bo rano przez bite czternaście minut próbowałem zamaskować nimi bliznę na czole.

Przypuszczam, że Małpoludy się z nim zgadzają, ale słyszę tylko „ooo ho hoo” i „uuh uuuk uuh”.

Zrzuca mój plecak na ziemię. Cholera. Mam nadzieję, że nic się nie zniszczyło.

— Tęskniliśmy za tobą, Jon-Boy. Gdzieś się chował, co? — Jego oddech: nieswieża mieszanina fajek i owocowej gumy do żucia. — No co jest? Jęzor odebrało? Zgubiłeś go wczoraj w nocy w szparce Starli? — Wyciera moją twarz w swoją koszulkę Rolling Stonesów z gębą z wyciągniętym ozorem, która wygląda tak, jakby miała mnie połknąć w całości.

Małpoludy szaleją. A ja wiotczeję. W „National Geographic” czytałem, że gdy zwierzę udaje martwe, drapieżnik zwykle nudzi się i odchodzi.

Zwykle.

Nie tym razem.

— To co tam dla mnie dziś masz, Jon-Boy? — Wciska palce do kieszeni moich džinsów i — *CAP!* — ściska mi jaja tak, że widzę przed oczami wszystkie barwy świata, ściekające w kałużę u moich stóp. *Nie krzycz. Tylko nie krzycz. Nie okazuj strachu.*

— A co to takiego? — pyta, rozprostowując coś, co wyciągnął mi z kieszeni.

Moje gałki oczne skaczą jak na trampolinie. *Skup się, Collins. Oddychaj.* Dobra; teraz to widzę: zmięty banknot. Dziś rano ojciec zapomniał mi zostawić pieniądze na lunch, musiałem więc ukradkiem wydobyć trochę grosza ze zwitka gotówki, leżącego na jego

szafce nocnej pośród wielu znakomitych ojcowskich parafernaliów: bibulek do skrętów, pustej butelki po budweiserze — a może dwóch albo dwudziestu siedmiu, nie liczyłem — oraz szklanki do whisky, z kilkoma petami pływającymi w mętnej cieczy. Czyli standard.

Moim oczom w mroku poranka umknął jednak szczegół, który teraz widzę w pełnym świetle: nabazgrany na twarzy George'a Waszyngtona numer telefonu z wypisanym grubym, pochyłym piśmem imieniem „Heather”. Oraz serduszko. „Zadzwoń”.

O nie.

To znaczy, że tato spotkał wczoraj wieczorem jakąś niunię, a to z kolei znaczy, że ten konkretny banknot jest złotym kluczem do niewieściej bramy, a jeśli go nie odzyskam, ojciec mnie zamorduje.

— Scotty, potrzebuję tego...

— Mówi się *Scott*, pieprzony pedziu. Nie jesteśmy już w podstawówce. Co to? Numer telefonu?

— Oddaj mi to. Proszę. — Cholera, nienawidzę własnego głosu. Kwilę jak głupia sikorka.

— Ooo... bidulka Jon-Boy powiedziała płooszę...

Małpoludy chrząkają z aprobatą.

— Kim jest Heather? — Rozprostowuje jednodolarówkę tak, żeby wszyscy widzieli.

— *Oooooo*.

— Chłopie, założę się, że Starla chętnie dowiedziałaaby się tego i owego o Heather. Co nie, chłopaki?

— Daj spokój. Przestań się droczyć, Scott. — Próbuje złapać banknot, ale on podrywa go wyżej. Tak, to wszystko naprawdę się dzieje. A ja zostaję uwięziony wewnątrz cuchnącej gromadki Małpoludów. Jeśli mnie nie zabiją, sam padnę od smrodu.

Myśl, Collins, myśl. Jestem od nich niższy i szczuplejszy, więc mogę się między nimi prześlizgnąć jednym susem. Nie. Zbili się w wielką włochatą ścianę.

Doktor Evelyn nauczyła mnie kilku trików, które można wykorzystać w konfrontacji z Prymitywnymi Mięśniakami.

Zasada pierwsza: skomplementuj wroga.

— Scott, to tylko dolarówka, chłopie. Masz tego więcej. Jesteś najbardziej dzianym dzieciakiem w tym mieście. — Co jest prawdą. Jest jedynym znanym mi dzieciakiem z elektronicznym zegarkiem.

— Się zgadza, ale chcę tę konkretną — odpowiada.

Nie zadziało.

Trudno. Zasada druga: zamknij oczy. Niech z twych dłoni wystrzelą błyskawice. Zamień ich w pył. Tę wymyśliłem na poczekaniu. Widziałem coś takiego w *Star Treku*.

— Zabawię się z Heather o-cipinkę — mówi Scott. Zgniata banknot w małą kulkę i zaczyna grać w zośkę z Małpoludami.

Ja — miotam się, próbując ją złapać. Skaczę w tę i we w tę, do przodu i na boki. Za każdym razem moja dłoń mija się z nią o włos. A potem nagle się potykam. I wpadam na Scotty’ego. I obaj tracimy równowagę. I upadamy na chodnik z tak głuchym *dupnięciem*, że ziemia przestaje się kręcić wokół własnej osi.

Małpoludy cichną.

Ja — leżę rozciągnięty na nim.

Scotty — sapie i dyszy. Za chwilę skopie mi tyłek.

Mam dokładnie jedną sekundę na:

- 1) *spostrzeżenie grubej żyły pulsującej mu na czole,*
- 2) *odnotowanie oślepiającego hiroszimską bielą blasku w jego piwnych oczach,*
- 3) *wciągnięcie kolejnego powiewu owocowego oddechu,*

zanim zdołam złapać plecak, wskoczyć na Stingraymobila i umknąć, pozostawiając wszechwładną, acz pogniecioną dolarówkę ojca w dłoni Scotty’ego.

3.



STINGRAYMOBIL MKNIE ULICĄ; serce niespokojnie młóci mi w pier-
siach, stopy niespokojnie młóć pedałami. A może jest na odwrót.
Plecak objija mi się o plecy, pozbawiając mnie resztek tchu.

Rzęzę, wdychając.

Kaszlę, wydychając.

Inwazja Szarżującego Astmatyka.

Mam jedną, krystalicznie jasną wizję: *potrzebuję PeteraPaulaand-*
Mary. Gdzie ja go wetknąłem? Z piskiem wchodzę w zakręt. Boisko
jest kilka przecznic dalej.

— WRACAJ TU, PEDZIU...

— JON-BOY, TUŻ ZA TOBĄ...

Oddech szarpie mi płuca.

— NIE UDAWAJ, ŻE NAS NIE SŁYSZYSZ! NIE MOŻESZ
ZWIEWAĆ W NIESKOŃCZONOŚĆ, COLLINS!

Toaleta na stadionie, jeszcze tylko pół przecznicy.

Piętnaście metrów. Dziesięć. Trzy.

— MAMY CIĘ!

Otwieram drzwi na oścież, wrzucam Stingraymobila do środka i — *whambamthankyouma'am-BAM* — zatrzasnąję je tuż przed uśmiechniętą w słońcu gębą Scotty'ego.

Zamknięte. Wali do drzwi. Małpoludy dołączają, próbując rozszyfrować znaczenie metalowego prostokąta przed ich pyskami. Osuwam się na podłogę.

— NIE BĘDZIESZ TAM TKWIŁ PRZEZ WIECZNOŚĆ, CHŁOPTASIU.

— MAMY CIĘ. WYŁAŻ, ZABAWIMY SIĘ.

Sięgam do plecaka, przedzieram się przez książki, piórnik z złotym uśmiechem i magnetofon, który zawsze noszę ze sobą — *jest cały, uff!* — i wreszcie namierzam PeteraPaulaandMary, czyli inhalator, kryjący się w najgłębszych czeluściach. Łapczywie wciągam kilka *puf-puf-puf* — porcji magicznego pyłu nasyconego sterydami... *ach...* — i dopiero wtedy się uspokajam.

Rozlega się dzwonek.

— Cholera, spóźnimy się — mówi Scotty.

— Dorwiemy cię w drodze powrotnej, Jon-Boy — drze się któryś z Małpoludów.

Pięścioklatotłuki powoli się oddalają.

Poszli.

Biorę jeszcze dwa *puf*. Przeżyłem. Trochę starmoszony, ale przeżyłem. Opieram głowę o drzwi i zamykam oczy. Cholera. Stracę pierwszą lekcję. Wprawdzie to biologia i *znów* będziemy robić sekcję żab, a mnie wystarczy sekcji na jakieś kolejne siedem wcieleń, sękjuwerymacz, ale jednak...

Jeszcze jedna inhalacja, jakże sosnowa, jakże odświeżająca. *Ach*.

Witam w moim drugim domu: stadionowej toalecie.

Sekret? To tutaj jem lunch.

Och, nie martw się. Odsłużyłem swoje na stołówce. Trzy lata w kiciu. Jakimś cudem udawało mi się wychodzić cało z kolejnych scen z *Władcy much*, odgrywanych każdego dnia między 12.06 a 12.46,

do póki Wódz Scotty nie stanął pośrodku wyspy i nie zademonstrował zgromadzonym mojego suspensorium na wuef. Następnie nałożył nań keczup i wrzasnąwszy „Pogratulujmy Jonathanowi Collinsowi, który dziś stał się kobietą”, cisnął nim w przestworza tak, że ochraniacz wylądował centralnie na szczycie purée ziemniaczanego na mojej tacy. Po tym wydarzeniu opuściłem Stołówkową Krainę po angielsku, by nigdy więcej się w niej nie pojawić.

Wcześniej kilka razy próbowałem jeść lunch ze Starłą, ale ponieważ zawsze zajmowała miejsce przy stole pełnym dziewcząt, czułem się jak intruz w ich femmiwersum. Usiłowałem przysiąść się do kilku innych grup — geniusze z klubu szachowego i sensacjonaliści byli dla mnie zbyt gadatliwi, a narkohippie zbyt... właściwie to nawet nie wiem zbyt jacy — w każdym razie któregoś dnia odkryłem to miejsce. Przychodzę tu od tamtej pory. Pełnia szczęścia.

Nigdy jednak nie byłem tutaj tak wcześnie. Do środka wpada inne światło. Trochę, jakbym zaczął śnić...

Tak czy inaczej mam godzinę. Powiniennem zapoznać się z zadaniem z angielskiego, na które minionego wieczoru jakoś nie znalazłem czasu. Wyjmuję z plecaka *Mewę* Richarda Bacha, magnetofon i mikrofon, żeby zacząć nagrywanie. „Uczenie się na pamięć rozwija umysł”. Tak twierdzi doktor Evelyn, która poprosiła mnie o jak najczęstsze nagrywanie siebie w czasie trwania zabiegów, co ma mi pomóc zachować trzeźwość umysłu. Poza tym właśnie tak wyglądały początki magazynu „Interview” założonego przez Andy’ego Warhola, za każdym razem udaję więc, że jestem sławny i udzielam mu wywiadu.

Klik.

— *Mewa* Richarda Bacha — zwracam się do mikrofonu. — Książka o sensie wszystkiego. Przerzucam kartki i odnajduję jeden ze swoich ulubionych fragmentów:

Jeśli chcesz, możemy teraz zacząć pracować nad czasem (...), aż nauczysz się latać w przeszłość i w przyszłość. Wówczas (...) będziesz gotów, by wznieść się wyżej i poznać znaczenie dobroci i miłości.*

— Całkowicie się zgadzam, Andy — peroruję do toalet. — On chyba chce powiedzieć, że czas na bycie dobrym jest właśnie teraz. Potem już nie; szansa stracona... Masz rację, Andy, to trudne, gdy jest się ściganym przez Małpoludów, ale wydaje mi się, że to rodzaj próby. Doktor Evelyn mówi, że każda próba rozwija duszę, więc może właśnie to ma na myśli. Ach, i jeszcze jedno, że miłość jest ponadczasowa. To znaczy, że jedyny sposób na znalezienie prawdziwej miłości polega na złapaniu ezoterycznego statku kosmicznego wyruszającego w podróż do innego wymiaru i zamieszkaniu tam. Z innymi Gwiezdnymi Ludźmi. I Ziggym. Tak, to ma sens...

— A może on chce przekazać coś innego. — Słyszę czyjś głos z kabiny.

— Olaboogie...!

— Wybacz, chłopie, nie chciałem przeszkadzać. — Rozbawienie w głosie miesza się pół na pół z tonem w rodzaju siema-świrze-Collins.

Podpełzam do drzwi kabiny.

— Nie, to ja przepraszam... — Bosko. Jak ostatni idiota gadam do durnego mikrofonu, podczas gdy jakiś koleś robi dwójkę. — Nie miałem pojęcia, że ktoś tu jest... Dżizas...

— O, no tego się domyśliłem. — Opuszcza stopy — *czy on lewitował?* — i niech mnie, ale jego trampki są zdarte na amen.

— To ja już pójdę — stwierdzam.

* Wszystkie cytaty z *Mewy* Richarda Bacha w przekładzie Radosława Zubka (Rebis, Poznań 2003) — *przyp. tłum.*

— Ale może on naprawdę chciał przekazać coś innego — powtarza głoś.

— Kto?

— No, autor.

— Ach. Moooże. Tak...

— Nie wydaje ci się, że aby coś zobaczyć, trzeba w to *wwierzyć*?

— Że co?

— Wierzysz w podróże w czasie? Wszechświaty równoległe? Tego typu sprawy?

— O tak. Coś jak w *Star Treku*?

— Ale co?

— Mówię o tej scenie, w której teleportują się przez burzę jonową i po powrocie widzą równoległe wersje siebie, cholernie niefajne, a Spock... — *JEZU, ZAMKNIJ JADACZKĘ, COLLINS, PO CO TA GADKA...* — ma tę... kozią bródkę...

— Co?!

— Nie, nic.

— Chodzi mi o to, co jest prawdziwe, a co jest *naprawdę* prawdziwe. Kumaszu, do czego zmierzam?

Co tu się odstawia? Ten gość brzmi jeszcze dziwniej niż ja. Jestem w jakiejś ukrytej kamerze? Czy tu w ogóle są *jakiegokolwiek* kamery? To byłoby niezłe zboczone, biorąc pod uwagę fakt, że znajdujemy się w TOALECIE. Próbuję przebić się laserowym wzrokiem przez drzwi jego kabiny. Nic z tego.

— Nie bardzo.

— Co?

— Nie bardzo kumam, do czego zmierzasz. Chyba powinienem cię zostawić... — Centymetr po centymetrze otwieram zamek toalety...

— Poczekaj, spodobało mi się to, co mówiłeś... czy tam nagrywałś... właściwie to było bardzo ładne...

Aha...

— Serio. Znaczy, wyobrażam sobie, że można byłoby po prostu, no wiesz, otworzyć przed sobą jakieś wrota i *wziuuuuu*, znaleźć się w równoległym wszechświecie — mówi. — Spotkać się z zupełnie inną wersją siebie. Wiem, naciągane.

— Znaczy... Tak.

— Ale cudnie byłoby móc zmienić swoje życie w mgnieniu oka. — Pstryka palcami. — I ot tak, stać się kompletnie innym człowiekiem. Nie przeczę, że byłoby to cholernie genialne.

— Kim chciałbyś zostać?

Zamieram w bezruchu. Właściwie nawet nie wiem dlaczego.

— Bo ja chyba dyrektorem — odpowiada sam sobie.

— Dyrektorem? Naszej szkoły? Czemu?

— Żeby móc ustalać wszystkie zasady. Ludzie wreszcie zaczęliby mnie słuchać i zwracać na mnie uwagę.

— Hm... to czemu się ograniczać? Może lepiej zostać prezydentem? Albo władcą wszechświata?

Śmieje się.

— To dobre! Podoba mi się twój tok myślenia. A ty?

Gapię się na drzwi jego kabiny, jakbym czekał na głos narratora. Nic się nie dzieje.

— Halo?

— W sumie nie wiem. Chyba inną wersją siebie.

— A co byś w sobie zmienił?

— Wszystko.

— Aha...

Cisza. Jedyne dźwięki — *kapu-kapu-kap* z kranu.

— Ciężki przypadek, chłopie — stwierdza wreszcie.

Odrobinę dziwaczne, prawda? Rozmawianie z kompletnie obcym człowiekiem, który znajduje się w kabinie toalety. Pomijając ten fakt, z kompletnie obcym człowiekiem?! Ale nie wiem. Ta barykada między nami daje mi dziwne poczucie bezpieczeństwa. Jak na spowiedzi. Chcę to nawet powiedzieć na głos, ale wydaje mi się to durne.

Chcę też wyjść, ale dziwnym trafem moje trampki są jak przyklejone do podłogi.

— Jesteś tam jeszcze? — pyta.

— Ja, ten... tak. Czy my się znamy?

— Nie.

— Przychodzisz tutaj?

— Powiedzmy.

— Powiedzmy?

— To mój pierwszy dzień — słyszę.

— Ale... Zostały tylko trzy tygodnie do końca roku szkolnego.

— Wiem.

— I zacząłeś dziś?

— Na to wychodzi.

— W której jesteś klasie?

— Trzeciej.

— To tak jak ja... Przeprowadziłeś się tu? — dopytuję.

— Powiedzmy...

— Boisz się?

— Co?

— Pytam, czy się boisz. — Kiedy ktoś nagle milknie lub zaczyna wypowiadać się oszczędniej, prawie zawsze oznacza to a) strach, b) zamykanie się lub c) jedno i drugie. Miałem wystarczająco dużo sesji z doktor Evelyn, żeby znać takie smaczki.

Śmieje się w głos.

— Boję? Ja? Co ty, chłopie.

Kłamie.

Spuszczam wzrok. Czarna smuga na bieli moich trampek. O nie. Zwilżam palec śliną i zaczynam trześć.

— Posłuchaj — zaczynam. — Chcesz dobrej rady? Siedź cicho, a wszystko będzie dobrze. Wiem, co mówię.

— Nie jestem z tych, co siedzą cicho.

— Rób, jak uważasz. — *Spadaj, no już, przebrzydła plamo*. Nienawidzę brudnego wszystkiego. — Tak czy inaczej nie zawracam, rób dalej... cokolwiek tam robisz. — Nieruchomieję, choć została jeszcze mała uparta kropka.

— Myślałeś, że ja tu...

— Powodzenia... znaczy, jeśli czegoś aktualnie potrzebujesz, to mogę... no wiesz...

— Dzięki, chłopie. Nie, ja tu sobie po prostu... siedzę. Rozumiesz, tak sobie siedzę... i czekam.

Aha.

— No dobrze... chowam się — przyznaje.

Uśmiecham się.

— To dobra kryjówka.

— Fakt.

Patrzę na jego kabinę. Jego stopy podskakują nerwowo w takim tempie, jakby próbował przebić się do podziemi. Doskonale znam to uczucie.

— Czyli jakoś do zobaczenia?

— Nie inaczej.

Ostrożnie uchylam drzwi wejściowe.

— Chłopie?

— Tak?

— Miło było cię poznać — mówi.

— Ach. Heh. — Śmiejemy się. A ściślej, on śmieje się jak normalny chłopak, a ja popiskuję jak stuknięty termit. To znaczy, że na mnie już czas. Do zgdania, *chłopie*. Zatrząskuję za sobą drzwi i wyglądam za róg.

Teren czysty. Żadnych Małpoludów. Żadnych ukrytych kamer i dziwnych wszechświatów równoległych.

Nie myślę.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

...to wszystko, co życie ma ci do zaoferowania

W tym czarującym debiucie, którego akcja rozgrywa się na tle burzliwych wydarzeń w Stanach Zjednoczonych z roku 1973, gdy procesy po aferze Watergate rozpalają opinię publiczną do czerwoności, w Wietnamie trwa krwawa wojna, a homoseksualizm wciąż jest uważany za chorobę psychiczną, dwóch chłopców wbrew przeciwnościom losu zakochuje się w sobie.

Szesnastoletni Jonathan Collins, prześladowany, trapiiony lękami chłopiec chory na astmę, jest pozostawiony samemu sobie – jeśli nie liczyć ojca alkoholika i Starli, przyjaciółki z sąsiedztwa. Próbując radzić sobie z problemami, Jonathan ucieka w bezpieczną oazę własnej wyobraźni, gdzie szuka wsparcia Ziggy'ego Stardusta – scenicznej osoby jego bohatera, Davida Bowiego – i zmarłych bliskich, w tym matki. W tej alternatywnej rzeczywistości Jonathan może się stać kimkolwiek: superbohaterem, astronautą, Ziggyem Stardustem, sobą albo kimś zupełnie „zwyčajnym”, a nie chłopcem, który lubi innych chłopców. Żyje nadzieją, że po zakończeniu bolesnej terapii będzie normalny... Zanim jednak wizja ta ma szansę się ziścić, w jego życiu pojawia się Web, który jest uosobieniem wszystkich upragnionych przez Jonathana cech: chłopcem nieustraszonym i budzącym grozę, a przede wszystkim niewstydzającym się bycia gejem.

Jonathan nie chce żywić ciepłych uczuć do mrocznego chwilami Weba, który skrywa własne sekrety. Ale siły, które go do niego ciągną, przeważają. Web jest pierwszą osobą w prawdziwym świecie, która postrzega Jonathana jako kompletnego i idealnego. Dla Jonathana zaś Web jest ucieczką od realiów, jakiej nigdy nie zaznał. Co wyniknie z tej znajomości?

Przejmująca opowieść o dojrzewaniu, która zapowiada nadejście wspaniałego i ważnego głosu w książkach przeznaczonych dla młodzieży.

*...na tę jedną chwilę dwóch samotnych astronautów
dryfujących w kosmosie wreszcie się odnajduje*

beyA.
beyA.pl

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-283-9653-1



9 788328 396531

cena: 44,90 zł